

Więcej niż oszczędzanie pieniędzy



STABILNE FINANSE DOMOWE I DOBRE ŻYCIE

WNOP odcinek 100 – 18 czerwca 2017 r.

Kilkanaście rzeczy, których o mnie nie wiedzieliście - czyli dlaczego jestem jaki jestem

Opis odcinka: <http://jakoszczedzacpieniadze.pl/100>

To jest podcast „Więcej niż oszczędzanie pieniędzy” – odcinek 100. Dzisiaj opowiem Wam o sobie kilka rzeczy, których jeszcze nie wiecie.

Witam Cię w setnym odcinku podcastu „Więcej niż oszczędzanie pieniędzy”. Ja nazywam się Michał Szafrąński i w tej audycji przedstawiam konkretne i sprawdzone sposoby pomnażania oszczędności. Opowiadam, jak rozsądnie wydawać pieniądze i jak odważnie realizować swoje pasje i marzenia. Jeśli tylko szukasz odrobiny stabilizacji finansowej i emocjonalnej w swoim życiu, to ten podcast jest dla Ciebie.

Odcinek nr 100 – moje wielkie święto. Ponad cztery lata nagrywania podcastów – od marca 2013 r. do czerwca 2017 r. – ponad 2,5 miliona pobrań wszystkich odcinków, a w maju przekroczony został poziom 150 tys. pobrań miesięcznie. To jest coś absolutnie niesamowitego, bo na samym początku absolutnie nie zapowiadało się na to, że to będzie tak popularne medium. W tej chwili w Polsce podcasting świetnie się rozwija. Myślę, że przeżywa pewien renesans od początku tego roku. Wszystkim podcasterom statystyki rosną, co zdecydowanie widać. Więc dzięki wielkie Wam słuchaczom za to, bo Wy swoim zasłuchaniem udowadniamie, że nagrywanie podcastów w Polsce ma sens.

Jako ciekawostkę wspomnę, że od 50. odcinka podcastu przybyło mi ponad 2 miliony odsłuchań, czyli cztery razy więcej niż przez pierwsze 50 odcinków, kiedy było tylko pół miliona. Myślę, że to jest najlepsza metryka, która pokazuje, że podcasting rośnie w siłę.

Mocno zastanawiałem się, co jestem w stanie dla Was przygotować na ten setny, radosny i wyjątkowy dla mnie odcinek. Miałem kilka pomysłów, ale jeden mi się szczególnie spodobał. Odpowiem na pytanie, które bardzo często mi zadajecie, czyli: „*Jaki splot zdarzeń spowodował, że ja, Michał Szafrąński, jestem taki, jaki jestem?*”. Czyli jak to po kolei się u mnie kształtowało.

Odpowiedź na to pytanie jest na tyle złożona, że nie potrafię wskazać jednego czynnika, który był decydujący. Bo to jest suma doświadczeń zdobytych wcześniej. Więc pomyślałem, że przedstawię Wam kilka sytuacji z mojego życia, które rzeczywiście w jakiś sposób mnie ukształtowały. Spróbuję to zrobić w takiej nowej formule i zobaczymy, na ile Wam się to spodoba. Zaczynamy!

Urodziłem się w Warszawie i mam osiem lat. Żyję w mieście, w bloku, razem z moją Siostrą i Rodzicami. Na wakacje zawsze wyjeżdżamy do Babci na wieś. Jak to mały chłopak większość czasu spędzam na dworze. Pewnego lata przyjeżdżamy i jest sobie pies, szczeniak, świetnie się z nim bawię. Siostry cioteczne i Babcia ostrzegają: „*Jak będziesz się z nim bawił, to uważaj,*

bo on lubi ganiać, jak ty biegniesz, to on pobiegnie za tobą. Wystarczy zrobić jedną prostą rzecz, zatrzymać się i pies przestanie cię gonić”.

Do pewnego momentu było fajnie, biegamy po dworze i nagle słyszę za sobą ujadanie. Goni mnie po prostu szczeniak, który sięgał mi do kolan. Leci za mną. Jak to widzę, to natychmiast zaczynam biec jeszcze szybciej, uciekam, uciekam, wielka łąka, drzewa wokół, przebiegając, zastanawiałem się, na które drzewo wskoczyć. Wiedziałem, że nie jestem w stanie tego zrobić. Ten pies jest coraz bliżej, opadam z sił. Strach, panika. I taki moment, że za chwilę będę cały pogryziony. Pies wskoczy mi na plecy i mnie zeżre. Zaczynam ryczeć. Biegnę i ryczę. Wszyscy wokół mnie krzyczą: „Zatrzymaj się, stój!”. Ja nie jestem w stanie zwolnić tempa. I co się okazuje? Jak już opadam kompletnie z sił, padam na ziemię, to ten pies po prostu czterema łapami ostro hamuje i zatrzymuje się w miejscu. I nic strasznego się nie dzieje. Ja leżę, ryczę. Jest to absolutnie najbardziej traumatyczne zdarzenie z mojego dzieciństwa. Nic straszniejszego wtedy mi się nie przytrafiło – a przynajmniej żadnej innej złej sytuacji tak nie pamiętam.

Dlaczego o tym opowiadam? Po tych latach płyną dwa wnioski z tej sytuacji. Pierwszy jest taki, że czasami mamy taką tendencję, żeby biec coraz szybciej. **Jeżeli coś się wokół nas dzieje, to zwiększamy tempo i absolutnie nie mamy czasu, żeby zatrzymać się w miejscu i zastanowić się, czy w ogóle to biegnięcie ma jakikolwiek sens.** Ta sytuacja uświadamiała mi zawsze, żeby zatrzymać się i zastanowić. Na zimno, na chłodno ocenić sytuację, nie ulegając emocjom.

I drugi wniosek, który płynie z tej sytuacji, to jest to, że **są wokół nas osoby, bliscy, którzy bardzo często mają bardzo dobre odpowiedzi.** Ja mówię o takich osobach, którym na nas zależy. One będą do nas krzyczały, będą próbowały nas ratować. My często nie jesteśmy gotowi na przyjęcie tej pomocy albo sytuacja nas zmusza, aby zachowywać się w taki, a nie inny sposób, nie jesteśmy chętni tej pomocy przyjąć, w ogóle usłyszeć tego głosu, a te osoby wokół nas są. Mam na myśli najbliższych. Bo czasami też tak jest, że głos najbliższych może być czymś, co działa przeciwko nam. Ale w większości przypadków to są raczej osoby, które troszczą się o nas. Więc warto ten głos słyszeć i brać pod uwagę.

Mam 10 lat. Mój Tata zabiera mnie do kina na premierę filmu *Akademia pana Kleksa*. Niesamowite wydarzenie w moim życiu. Rzadko wtedy chodziło się do kina. To było bodajże kino Muranów w Warszawie. Była wielka kolejka do kasy biletowej. Mój Tata w niej stoi, a ja z Siostrą biegam wśród olbrzymiej liczby dzieciaków, które wypełniają cały hol kina. Jest niesamowity ścisk. Widzę, że w rogu stoi całkiem ładna, starsza babka. I widzę, że ona mi się przygląda. Ja sobie biegam, gadam z Siostrą, zaczepiam dzieciaki. Zbiegam po takich schodach. A ona przygląda mi się i w końcu do mnie podchodzi i mówi mi, że chce porozmawiać z moim Tatą. Ja wtedy autentycznie spękałem. Wydawało mi się, że musiałem coś przeskrobać. Więc najpierw palę głupa, że jestem tu sam, że tu nie ma moich rodziców. Ona nie odpuszcza. Więc totalnie zawstydzony, niewiedzący, co się wydarzy, prowadzę ją do mojego Taty. I kobieta mówi: „Proszę pana, spodobał mi się pański syn, czy moglibyście przyjść na casting do filmu?”. Ja wtedy buzię rozdziawiłem, totalny szok. Pomyślałem: „Rany, będę aktorem”.

Parę dni później rodzice zawieźli mnie na ulicę Chełmską w Warszawie, gdzie znajduje się wytwórnia filmów. Wchodzę do takiego pomieszczenia, w którym jest poczekalnia. Siedzi w niej masa dzieciaków. I widzę, że one są megawygadane, elokwentne, widać, że już musiały grać w jakichś filmach, w każdym razie te castingi to nie jest dla nich pierwszozna. Ja wchodząc myślałem, że przychodzę, żeby mi powiedzieli, że będę aktorem. Jakaś rozmowa i nim będę. Okazuje się, że nie. Że jestem jednym z bardzo wielu chłopaków. Widzę, że kompletnie do nich nie pasuję, że to jest inny świat, że to są profesjonaliści, a ja jestem totalnym cieniem. I siedzę i czekam.

W pewnym momencie wychodzi ta pani i mówi do mnie: „*Michał, zapraszam do środka, porozmawiamy*”. Wchodzę do środka, spięty i blady. Siadam na krześle, przede mną stoi kamera. Kobieta siada po mojej prawej stronie na krześle poza zasięgiem kamery, więc kamera jest skierowana bezpośrednio na moją twarz. I ta pani zadaje mi takie pytanie: „*Opowiedz mi o sytuacji w Twoim życiu, w której się najbardziej bałeś*”. Myśli pędzą mi przez głowę, nie jestem w stanie wykrztusić z siebie ani słowa i autentycznie nie wiem, co powiedzieć. I zobaczcie, parę lat wcześniej była ta najbardziej traumatyczna sytuacja w moim życiu, ale w sytuacji takiego wysokiego stresu nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa. Kobieta mnie podprowadza, pyta: „*No dobrze, to może tak generalnie, nie sytuacja, tylko czego ty się w życiu boisz?*”. Jestem kompletnie spięty i przez zaciśnięte zęby odpowiadam: „*Proszę pani, ja się niczego nie boję*”. Pamiętam, że zapadła taka bardzo długa cisza, po czym pani powiedziała: „*No to dziękujemy, Michał, odezwiemy się do ciebie*”. Wyprosiła mnie z tego pomieszczenia. Pamiętam, że wyszedłem i totalnie się poryczałem. Od tamtego czasu absolutnie nie lubię kamery.

Jeżeli chcecie wiedzieć, do jakiego filmu odbywał się ten casting, to było to *Siedem życzeń*. Później oglądałem ten film z dużym zainteresowaniem, ale kiedy widziałem aktora, który tam występował, takiego chłopaka w okularach, to zawsze przypominałem sobie, że to mogłem być ja. I to było masakryczne wspomnienie. Sama sytuacja, która wydarzyła się w wytwórni filmowej, nie była najgorsza. Najgorsze było to, że po powrocie z kina przez te kilka dni ja wszystkim wokół opowiadałem, że będę występował w filmie, że będę aktorem. I musiałem wrócić i powiedzieć, że jednak nie będę. Więc taka największa trauma, która wiąże się z tą sytuacją, to jest to, że **musiałem się przyznać do porażki, i to publicznie**. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że byłem zwolniony z zajęć lekcyjnych, więc następnego dnia z duszą na sercu poszedłem do szkoły i odkręciłem to wszystko.

To mi uświadomiło, że **nie ma co za wcześnie cieszyć się z potencjalnych sukcesów**. Lepiej mocno na nie pracować i przygotowywać się do nich, a nie latać z wywieszonym jęzorem i opowiadać wszystkim, jakie to super-rzeczy będą za chwilę się dziać, bez pewności, że się wydarzą. To był też taki moment, w którym byłem wystawiony na megaekstremalne poczucie wstydu. Odczułem to jako pierwszą dużą porażkę w moim życiu. Myślę, że to jest coś takiego, co mocno mnie ukształtowało.

Kolejny taki moment to był czas, kiedy miałem 10, 11 lub 12 lat. Moja mama była nauczycielką i jednocześnie bardzo nie lubiła otrzymywać kwiatów, bo z różnych oficjalnych okazji dużo ich dostawała od uczniów. Przynosiła te kwiaty do domu, a moim zadaniem było w zasadzie jak najszybciej się ich pozbyć. Była opcja, aby zanościć je np. do kościoła albo

uptynnić i odzyskać trochę pieniędzy. Pamiętam, jak pierwszy raz zabrałem duże naręczne kwiatów, jasną ceratę i poszedłem pod Halę Targową na warszawskiej Woli. Rozłożyłem tę ceratę, kwiaty i próbowałem je sprzedawać. Pamiętam spojrzenia osób, które podchodziły i zastanawiały się, czy jestem tak bardzo biednym człowiekiem, że muszę jako dziecko stać i sprzedawać te kwiaty, czy może rodzice mnie do tego zmuszają. Po prostu widziałem to we wzroku tych osób. Czuję wtedy też wstyd. Z jednej strony uczyłem się handlu, ale z drugiej tego, że taka podstawowa praca łączy się z tym, że trochę wstydu trzeba się czasami najeść.

Dlaczego to wtedy robiłem? Bardzo zależało mi na tym, żeby zebrać pieniądze na pierwszy komputer. Trochę ja zbierałem, trochę Rodzice mi dołożyli i go kupiłem. Ale wykonałem przy tym multum pracy. Zbierałem makulaturę, butelki, nosiłem to do punktu skupu, otrzymując za to jakieś grosze. Handlowałem kwiatami lub innymi drobnymi rzeczami. Odłożyłem 148 dolarów amerykańskich na wymarzony komputer. W tamtych czasach to były kolosalne pieniądze. Komputer ZX Spectrum, a tak naprawdę jego następcę, czyli Timex 2048. To był mój pierwszy komputer i moje marzenie do tego stopnia, że wiedząc, że długo będę na niego zbierał, narysowałem sobie na kartce papieru odwzorowanie klawiatury i uczyłem się palcami na niej pisać. Tak by nie tracić czasu na naukę obsługi klawiatury, jak już ten komputer do mnie trafi, tylko umieć szybko trafić w odpowiednie klawisze. Siedziałem w domu przy biurku, nie mając jeszcze komputera, i przez parę miesięcy ćwiczyłem pisanie na klawiaturze.

Komputer w końcu kupiliśmy z Tata, miałem wtedy ok. 12 lat. Poszliśmy do sklepu Baltona. Sklep à la Pewex, który sprowadzał ekskluzywne towary z zagranicy. Pamiętam, że chcąc nauczyć się zrozumieć, jak ten komputer działa, usiadłem i przepisałem całą pamięć ROM tego komputera, czyli 16 kilobajtów, dokładnie 16 384 liczby, od zera do 255, przepisałem w kolumnach do zeszytu. Zużyłem dwa zeszyty 80-kartkowe. A obok tych liczb tłumaczyłem sobie, jakie to są komendy w języku Assembler. Czyli ręcznie długopisem rozpisałem sobie całą pamięć tego komputera i po kolei analizowałem ją fragmentami, żeby zrozumieć, jak ten kod, który jest w tym komputerze, powoduje, że ten komputer działa. Można powiedzieć, że w ten sposób uczyłem się programowania i to była taka nauka, która bardzo, bardzo mi się przydała.

Rok później, mając zaledwie 13-14 lat, zacząłem jeździć na giełdę komputerową, która znajdowała się w Warszawie przy ul. Grzybowskiej. Zdobywałem tam doświadczenie ze wszystkich możliwych obszarów, które później przydawały mi się w życiu. Po pierwsze była to nauka sprzedaży, obserwowania innych osób, negocjacji. Ja przyjeżdżałem ze swoim sprzętem – komputerem, monitorem, magnetofonem – i przegrywałem programy komputerowe. Wtedy jeszcze w Polsce nie było to nielegalne. Czyli kopiowaliśmy gry, dema komputerowe. I szybko przekonałem się, że takie proste wykonywanie prac typu kopiowanie cudzych programów to nie jest nic fajnego, bo traci się na to czas. Ponadto na giełdzie kwitły niesamowite znajomości, przyjeżdżali tam ludzie, którzy byli pasjonatami informatyki w tamtych czasach. Stamtąd znam Marcina Iwińskiego z CD Projekt. W pewnym momencie stolik w stolik obok siebie staliśmy i handlowaliśmy programami.

I takim następnym krokiem dla mnie było pisanie własnych programów, dem, które inni gotowi byli oglądać. Wtedy cieszyło nas wszystko, każda animacja czy nowy sposób wyświetlenia pełnej palety kolorów na ekranie. Jedni od drugich kopiowali, uczyli się. Ten

wyścig na scenie demo trwał. Ja byłem jedną z takich osób, którą wszystko pasjonowało. Próbowałem też sam tworzyć takie dema. Pamiętam te momenty, w których robiło się coś naprawdę nietuzinkowego. Cały tydzień programowałem, potem w sobotę, niedzielę jechałem na giełdę i mój produkt trafiał do rąk innych osób. To było coś takiego, że widziałem, w jaki sposób ta praca zostaje doceniona. Że można zrobić coś takiego, co zostanie ciepło i spektakularnie przyjęte i rozejdzie się wirusowo. Ja przynosiłem jedną kasetę, za chwilę ona była powielana w dziesiątkach, setkach egzemplarzy i każdy chciał to mieć. Te pierwsze doświadczenia związane ze sprzedażą, negocjowaniem, obserwacją innych, doświadczeniem splendoru, tego, że zrobiło się coś wyjątkowego – to jest właśnie giełda na Grzybowskiej. Niesamowite wspomnienia stamtąd mam. Myślę, że podstawa IT w Polsce to giełda komputerowa na Grzybowskiej w Warszawie oraz w innych miastach.

Moja pasja dalej kwitła, rozwijałem ją. Mając 15-16 lat – końcówka szkoły podstawowej, początek liceum – zacząłem współpracę z miesięcznikiem „Bajtek” – pierwszy miesięcznik informatyczny, przybudówka do Sztandaru Młodych. To była prawdziwa redakcja. Jarek Młodzki, redaktor naczelny tego magazynu, grupa osób wokół niego, spotkania redakcyjne, tzw. kolegia. Tam uczyłem się tak naprawdę warsztatu. Uczyłem się tam pisać tak, jak się pisze do prasy. Nie było wiele moich publikacji w „Bajtku”, dosłownie kilka artykułów, ale ja miałem tam dosyć niewdzięczną rolę, jaką było odpisywanie na listy czytelników. Czyli czytelnicy tradycyjną pocztą przysyłali listy do redakcji, a ta miała taką politykę, że na nie odpowiadała. Czyli iluś tam dziennikarzy, współpracowników przy „Bajtku” zabierało listy do domów i odpisywało ręcznie. Z tych listów wybierało się takie, które były publikowane w samym „Bajtku” wraz z odpowiedzią od redakcji. Pamiętam, że doskonale w ten sposób zarabiałem, bo za każdą odpowiedź na taki list otrzymywałem chyba 5 tys. zł przed denominacją – na dzisiejsze pieniądze to jest warte 50 gr. Czasami udało mi się odpowiedzieć na 10 listów tygodniowo, czasami na 30. Znosiłem je do redakcji, skąd były odsyłane. To były naprawdę niezłe pieniądze jak na gościa, który robił to, co kochał, który nie pracował dla pieniędzy. Chciałem tylko zdobywać doświadczenie, być blisko tego, co naprawdę lubię.

W tym czasie w Polsce startowało MTV, Telewizja Polska też zaczęła nadawać teledyski. I w ten sposób trafiłem na rap, na takie zespoły jak Beastie Boys, Run DMC, Ice-T, Naughty by Nature, Bid Daddy Kane, Notorious B.I.G., 2Pac i jeszcze takie staruchy typu Salt-N-Pepa, których już nie ma, czy właśnie grupy kobiece jak np. Destiny's Child, i później Beyonce i Kelly Rowland, które wydzieliły się z tego zespołu. Całą historię tych zespołów śledziłem, jak również kariery solowe osób, które z nich się wyodrębniły. Przytoczę tutaj dwa fakty, pierwszy jest taki, że rzeczywiście często jest tak, że jest jakiś zespół i z niego wyłania się jeden czy dwóch mocnych solistów. Czyli osoby które były ponadprzeciętne w danej grupie, one prędzej czy później szły własną drogą. To jest taka obserwacja, która cały czas mi w życiu towarzyszy. Można gdzieś pracować zespołowo, ale w pewnym momencie te mocne jednostki idą własną drogą i w pojedynkę radzą sobie lepiej niż cały zespół. To trochę przeczy temu, co się mówi, że praca zespołowa jest ważna. Oczywiście, że jest, ale ten kult jednostki jest całkiem duży.

To, że stałem się fanem tej muzyki, to jedno, ale byłem również olbrzymim fanem tańca breakdance. Kiedyś w moje ręce wpadł taki film *Breakin* i po prostu kompletnie wsiąknęłam. Zaczęłam ćwiczyć, powtarzać układy, które na nim widziałem. To był film na kasecie VHS,

więc trzeba było taśmę przewijać, nie tak jak dzisiaj. Ja po prostu nauczyłem się wszystkich układów, które tam widziałem i które nie przekraczały moich fizycznych możliwości. Niestety w swoim środowisku nie miałem nikogo, kogo by to w ogóle interesowało. Więc od czasu do czasu na jakiejś dyskotekę pokazywałem moje umiejętności.

Pamiętam, że w liceum zawsze starałem się gdzieś wyjechać, dorobić. Moi rodzice pomogli mi załapać się na wyjazd na Węgry do zbierania truskawek, wiśni za pośrednictwem Ochotniczych Hufców Pracy (OHP). Mój pierwszy poważny wyjazd za granicę, pod Budapeszt. Węgry były wtedy dużo fajniej rozwinięte niż Polska, więc zrobiłem sobie olbrzymie plany, co zrobię z zarobionymi pieniędzmi, w jaki sposób je pomnożę, wracając do kraju, przywożąc jakieś tam towary.

Poza rozrywkami na miejscu, dyskotekami, imprezami, przez sześć dni w tygodniu ciężko pracowałem, dosłownie 8-10 godzin w polu, później powrót w kimę. Tylko w sobotę wieczorem imprezowanie i w niedzielę zwiedzanie Budapesztu, do którego też musiałem dojechać. Pamiętam, że kupiłem wtedy deskę skateboardową firmy Santa Cruz, z fajnym wzorem. Miałem taki zamiar, że przywiozę ją do Warszawy i sprzedam drożej. Problem był taki, że przez wyjazdem nie wykonałem researchu. Wiedziałem, że masa osób interesuje się skateboardingiem, sam nie byłem skatem, jeździłem na rolkach, ale wiedziałem, że są osoby, które są tym zainteresowane. Spodziewałem się, że będę w stanie tę deskę drożej sprzedać. Okazało się, że absolutnie nie. Że deska, którą kupiłem, jest sprzed sezonu lub dwóch. Ona chyba do dziś kurzy się w mojej piwnicy. Nie udało mi się jej upłynnić. Więc bardzo słaba inwestycja z mojego punktu widzenia. A drugą rzeczą, którą przywiozłem z Budapesztu, był oryginalny film *Breakin*. Wcześniej miałem bardzo słabą jego kopię. Dzięki temu nauczyłem się tego, czego na niej nie widziałem.

Zakup tego filmu okazał się superinwestycją, ponieważ po powrocie do Warszawy z tych wakacji w kolejnym roku wystartowałem w otwartych mistrzostwach Warszawy w breakdance. Pamiętam, że wywołałem niesamowite zaskoczenie, bo po prostu byłem gościem znikąd, którego nikt nie znał, nikt wcześniej nie widział na jakichś publicznych występach. Najpierw przeszedłem eliminacje, później finały. Opowiadałem o tej historii również w filmie, który promował książkę *Finansowy ninja*, że na eliminacjach rozwalilem buty sportowe, w których tańczyłem i latami je nosiłem. W przerwie między eliminacjami a finałem zadzwoniłem do kolegi z liceum, Marka, i po prostu pożyczyłem jego trampki. Pojechałem na finał i wygrałem w cudzych butach. Dlaczego o tym mówię? Bo to jest tak, że my **zazwyczaj nie wiemy, która z naszych inwestycji, których dokonujemy, rzeczywiście przyniesie niesamowity zwrot**. A z drugiej strony często musimy polegać na wsparciu innych w takich trudnych sytuacjach. Dobrze jest budować wokół siebie takie relacje, które pomagają nam w takich sytuacjach.

Ta wygrana podbudowała niesamowicie moje przekonanie o własnej wartości. To jest w moim życiu taki moment, do którego często wracam i mówię sobie: „*Byłeś kompletnie nikim w tym światku breakdance’owym, nikt cię nie znał, a mimo to, wyszedłeś, zrobiłeś swoje i zdobyłeś główną nagrodę*”. To otworzyło kolejne możliwości. Dostałem propozycję bycia instruktorem breakdance w Klubie Medyka w Warszawie i rzeczywiście przez pół roku lub dłużej szkoliłem ludzi. Kształtowałem tym samym swoje umiejętności dydaktyczne. Obserwowałem też osoby,

które przechodziły od zera do kogoś, kto potrafi wykonywać różne fajne układy. Więc widziałem, ile trudu wymaga skuteczne przekazywanie swojej wiedzy i uczenie czegoś innych.

I równolegle cały czas współpracując z „Bajtkiem” miałem dostęp do technologii, do komputerów, czyli do tego, co lubiłem. I w 1990 r. od redakcji „Bajtka” dostałem za darmo taki komputer, który miał być następcą ZX Spectrum, był to Sam Coupe. Niestety producentowi nie udało się osiągnąć tej skali sukcesu, którym był Spectrum. Komputer produkowano raptem przez trzy lata, od 1989 do 1992. W Polsce sprzedano zaledwie kilkaset jego sztuk. Ja byłem jednym z kilku takich geeków, którzy rzeczywiście go mieli. Mnie ten komputer absolutnie zafascynował, bo to był niesamowity przełom technologiczny w stosunku do mojego poprzedniego sprzętu. Sześciokanałowy dźwięk, dużo lepsza grafika, dwie stacje dyskietek wbudowane do środka tego komputera. I bardzo szybko miałem niemalże pełną kolekcję programów, które wyszły na ten komputer.

Przez to, że pisałem do „Bajtka”, to sporo osób kontaktowało się ze mną i chciało wymieniać programami, uzyskać informacje. Ja byłem dobrze poinformowaną osobą w środowisku związanym z tym komputerem. I zdecydowałem się, że zacznę wydawać własny magazyn dyskowy. Trochę to wynikało też z tego, że „Bajtek”, wiedząc, że to nie jest popularne rozwiązanie, nie chciał już tej tematyki poruszać na swoich łamach. A ja w latach 1991-1993, czyli mając 18-20 lat, zbierałem nowinki dotyczące Sam Coupe z całego świata. Jak je zbierałem, skoro nie było internetu? Po prostu pisałem listy albo dzwoniłem do tzw. BBS-ów i ściągałem stamtąd informacje. Przetwarzałem je, pisałem własne artykuły. Miałem również stałego współpracownika ze Szczecina – pozdrawiam serdecznie Marsa.

Nagrywałem co miesiąc porcję materiałów, świeżych dem, gier i nie tylko i rozsyłałem do osób, które były tym zainteresowane. To była działalność komercyjna, dlatego że każda osoba, która chciała otrzymać ode mnie taki magazyn dyskowy, musiała go ode mnie zaprenumerować. Prenumerata była kilkumiesięczna, ale można było kupować indywidualne numery. Jeden numer kosztował 30 tys. zł, jeżeli ktoś mi przysyłał swoją własną dyskietkę, na której nagrywałem te treści, albo 38 tys. zł, jeśli ja nagrywałem to na własnej dyskietce i odsyłałem do tej osoby, czyli 3-4 zł na dzisiejsze pieniądze. W szczytowym momencie co miesiąc nagrywałem kilkaset takich dyskietek. Wysyłałem je pocztą. Ludzie przesyłali mi pieniądze przekazami pocztowymi. Popęlniali często taki błąd, że nie podawali adresu zwrotnego, czyli czasami otrzymywałem pieniądze, a nie wiedziałem, dokąd odesłać tę dyskietkę.

Zobaczcie, jaki był poziom zaufania w tamtych czasach. Dziś często jest tak, że my potrzebujemy Allegro, które jest pośrednikiem w przekazywaniu pieniędzy, aby to było bezpieczne. Kiedyś działało się wyłącznie w oparciu o zaufanie. Czyli ktoś wysyłał mi pieniądze, ja je otrzymywałem po ok. tygodniu, musiałem nagrać dyskietkę, przygotować paczkę i ją wysłać. Czyli osoba dopiero po kilku tygodniach od wystania pieniędzy otrzymywała to, co zamówiła. Jakoś to funkcjonowało. I nie było wcale dużo przekrętów, przynajmniej ja ich nie widziałem.

Fajne było to, że rzeczywiście ten magazyn ukazywał się w zasadzie w sposób ciągły. W notatkach do tego odcinka podcastu załączę Wam screeny z tego magazynu. Bo

przygotowując się do tego odcinka, udało mi się ściągnąć emulator komputera Sam Coupe na mój komputer i wgrać kilka takich ROM-ów, czyli programów, obrazów tych dyskietek, które ściągnąłem też z internetu. Bo ja niestety nie zachowałem ani jednej kopii tego magazynu. Tam będzie też próbka tego, jak pisałem 25 lat temu. Bo tworząc ten magazyn, uczyłem się sprzedaży, reklamy, a także promocji – wszystkich tych elementów, które dziś w życiu mi się bardzo przydają.

I było też takie wydarzenie, które śmiało mogę nazwać pierwszym publicznym wystąpieniem. Mając 20 lat, zostałem zaproszony do Czeskiej Pragi na konferencję fanów komputera Sam Coupe, na której występowałem jako absolutny autorytet, twórca magazynu dyskowego, który był dystrybuowany na wszystkie kraje bloku postkomunistycznego. Więc to było niesamowite doświadczenie, kiedy macie szansę wyjść, stanąć w świetle jupiterów przed salą, na której było wtedy ok. 300-400 osób. Coś niesamowitego. I na miejscu oczywiście traktowany jako gość honorowy – absolutnie fajnie.

Kończąc liceum, nie odpuściłem informatyki, zdecydowałem, że idę na studia informatyczne na Politechnice Warszawskiej, próbowałem dostać się na takie studia. Niestety zabrakło mi punktów, wylądowałem więc na Elektronice w tejże uczelni, na przesuniętym semestrze, czyli moje studia zaczynały się nie od października, tylko od lutego. Miałem więc ponad pół roku czasu. I wtedy podjąłem się dwóch prac. Tuż po maturze w miesiącach wakacyjnych, zacząłem szkolić bezrobotnych z obsługi komputera. To była praca, gdzie rzeczywiście byłem zatrudniony na umowę-zlecenie przez jakąś firmę, która takie szkolenia organizowała. Jeździłem do Piastowa pod Warszawą i tam prowadziłem dwie grupy osób, głównie pań, dużo starszych ode mnie, które próbowały nauczyć się obsługi komputera. Już wtedy miałem do czynienia z PC-ami, więc uczyłem DOS-a i edytora tekstowego QR-Tekst. Miłe wspomnienia, które mam z tamtych czasów, to doświadczenia z edukacją, przekazywaniem swojej wiedzy. Że wcale nie trzeba być jakimś super-ekspertem, wystarczy być osobą, która wie ciut więcej od tych, których szkoli. Nie ma sensu kisić w sobie wiedzy i czekać na nie wiadomo co. Tak naprawdę te technologie informatyczne niesamowicie szybko się dezaktualizowały, więc jeżeli znałem się na czymś, byłem w tym w miarę dobry, miałem opanowaną podstawową obsługę, to dlaczego tę wiedzę nie podzielić się z innymi? Zarabiałem za to psie grosze, traktowałem to bardziej jako fajne doświadczenie.

Z kolei po wakacjach, kiedy kursy już się skończyły, jeszcze na pół roku zatrudniłem się w sklepie komputerowym – i to już była moja pierwsza oficjalna praca na etacie. Zarabiałem za nią 3 miliony złotych miesięcznie, czyli dzisiejsze 300 zł. Kiedyś przeliczałem, ile byłbym w stanie sobie za to kupić. Pamiętam, że jajko kosztowało od 2 do 4 tys. zł, więc jakieś 1200 jajek mogłem sobie kupić za tę pensję. Chleb kosztował chyba 7 tys. zł. I ta praca też dała mi parę fajnych obserwacji.

Pracowałem w takiej suterenie na warszawskim Żoliborzu. To był taki sklep na uboczu. Nikt wtedy do niego nie przychodził. Ja potrafiłem tam przesiedzieć miesiąc, codziennie przyjeżdżając do pracy i siedząc tam po 8 godzin, a do tego sklepu tygodniowo potrafiło przyjść cztery osoby. Więc zauważyłem, że można być firmą, która ma sieć takich sklepów, a jednocześnie kompletnie niedochodowych. Kupę pieniędzy można umoczyć w towarze, a i tak nikt do niego nie przyjdzie. Co z tego, że jest to sklep z technologiami informatycznymi,

skoro zainteresowania nie ma, jeśli brakuje marketingu, reklamy, jakichś działań, które mogłyby przyciągnąć klientów? Ja nie byłem jakoś szczególnie zainteresowany tym, żeby w tym sklepie było dużo klientów. Przychodziłem do swojej pracy i to nie była moja rola, żeby ich zdobywać. Ja byłem zwykłym sprzedawcą, awansowanym po dwóch miesiącach na kierownika sklepu, chociaż byłem cały czas jednoosobowy i wykonywałem ten sam zakres pracy. W międzyczasie, siedząc w tym sklepie, nudząc się, przywoziłem prawie każdego dnia właśnie ten mój komputer Sam Coupe i tworzyłem kolejne edycje magazynu dyskowego. Więc starałem się ten czas sobie wypełniać. Bez sensu jest siedzieć w jakimś miejscu, nie mogąc robić nic produktywnego. Ale to, co było fajne, to to, że w okolicy były bardzo bogate domy. Taka willowa okolica. Pamiętam, że miałem tam dwóch klientów, których uczyłem breakdance'a, czyli po wyjściu ze sklepu po prostu szedłem do takiego domu i dorabiałem po godzinach, udzielając dodatkowych lekcji.

Jak zacząłem już studia na wydziale elektroniki Politechniki Warszawskiej, to w pewnym sensie zauważyłem absurd sytuacji. Bo byłem na elektronice, na studiach, które mnie kompletnie nie interesowały, bo chciałem być na informatyce. Cały czas uświadamiałem sobie, że po elektronice pracy w zawodzie w Polsce nie ma. Zresztą wykładowcy dosyć skutecznie nam tę świadomość do głowy wkładali. Oczywiście jest masa osób, które ukończyły wydział elektroniki czy fizyki, matematyki, świetnie sobie radzą w biznesie, ale ja wtedy siebie w nim nie widziałem. Więc zastanawiałem się, co dalej ze sobą zrobić. Tylko strach przed rodzicami mnie trzymał przed rezygnacją. Strach, że jeżeli je porzucę, to oni będą zawiedzeni moją postawą. Dużo się nie myliłem. Ja w końcu po trzech latach studiowania na PW miałem zaliczone raptem dwa lata studiów i stwierdziłem, że pas, już wystarczy. Ale ten ruch wykonałem wtedy, kiedy miałem już pracę.

Studiując dziennie, popołudniami jeździłem do redakcji „Gazety Wyborczej”, gdzie trafiłem totalnie z ogłoszenia. Kiedyś przeglądając „Biuro i Komputer” GW, zauważyłem ogłoszenie, że redakcja szuka osób, które byłyby skłonne pisać o technologiach informatycznych. To było to, co lubiłem, więc po prostu poszedłem na rozmowę i okazało się, że tak, bardzo chętnie. Moje doświadczenia z „Bajtką”, z SAM Paper to było coś takiego, co powodowało, że redakcja GW stanęła dla mnie otworem. Nie miałem z nimi umowy. Pobierałem tzw. wierszówkę, czyli wyrazy przeliczało się na konkretną stawkę, i tyle pieniędzy dostawałem. Więc zacząłem całkiem fajnie zarabiać, bo po prostu bardzo dużo pisałem.

Podjąłem decyzję, że rzucam studia i idę na inne. Rzucam elektronikę i pójść na studia humanistyczne w trybie zaocznym, proste, łatwe i przyjemne. W GW w „Biuro i Komputer” pracowałem nieco ponad rok, 1994-1995 r. A z kolei w 1995 r. zacząłem pracować już na etacie w wydawnictwie prasy komputerowej IDG Poland, gdzie trafiłem do tygodnika „Computerworld” i to była superpraca. To, co mi stworzyła GW, to przede wszystkim nauczyła mnie warsztatu. Pamiętam, że pisałem jakieś gnioty, redaktor brał mój tekst i po prostu wywracał go do góry nogami. Pokazywał, jak należy konstruować strukturę takiego tekstu, jak podawać te informacje, bo moje teksty miały być informacyjne, żeby osoby, które je czytały, mogły je szybko przyswoić. Jak konstruować materiały w taki sposób, żeby te najmniej wartościowe informacje były na końcu, dlatego że nigdy cały tekst nie wchodził do gazety, zawsze go się ścinało. Pisało się go trochę więcej, a później jak się wylewało materiał na kolumnę gazetową, to było widać, ile tego tekstu jest za dużo. Tekst miał być napisany tak,

aby łatwo było wywalić całe fragmenty bez szkody dla całego materiału. Te półtora roku w „Gazecie Wyborczej” to była niesamowita lekcja tego, jak się pisze. Dzisiaj jak spojrzycie na gazeta.pl, to są zupełnie inne światy. Ja mówię o prawdziwym dziennikarstwie, które było wtedy uprawiane, a nie tym, co widzimy teraz na samym portalu.

W 1995 r. wydarzyła się jeszcze jedna ważna rzecz. Pracując w gazecie, miałem szansę być zapraszany jako dziennikarz informatyczny na różne konferencje praktycznie na całym świecie. I w 1995 roku w maju lub czerwcu odwiedziłem Seattle w USA, gdzie zaprosiła mnie firma Microsoft, która prezentowała wtedy nowy system operacyjny – Windows 95. Premiera tego systemu była po wakacjach. Ja miałem bardzo wcześnie okazję zobaczyć go na takiej prezentacji, którą firma zorganizowała. Tam był prezes Microsoftu Bill Gates i on pokazywał grupie ok. 200 dziennikarzy, jak ten system działa. Otrzymałem wersję demonstracyjną tego systemu z prawem zainstalowania u siebie. Wróciłem do Warszawy, zainstalowałem ten system, stwierdziłem, że to jest przełom, że takiego postępu technologicznego jeszcze nie widziałem. I postanowiłem, że napiszę książkę o tym systemie, jak się go używa.

Książka powstała w dwa miesiące. Całe wakacje w 1995 r. „zmarnowałem” na to, aby napisać książkę. Ukazała się ona w listopadzie tego roku i była pierwszą książką o Windows 95 na polskim rynku. W ciągu dwóch lat sprzedało się ok. 40 tys. egzemplarzy. Więc niesamowity sukces. Z mojej perspektywy to kolejny rozdział w życiu, bo jako 22-latek stałem się autorem książki. To był też moment, w którym zauważyłem, że można świetnie zarabiać, wykonując pracę tylko raz. Bo po napisaniu książki otrzymywałem tantiemy, czyli udział w zyskach ze sprzedaży książki. To były bardzo konkretne sumy jak na tamte czasy, bo pomogły kupić, wyremontować i wyposażyć pierwsze mieszkanie. I gdybym zastanawiał się nad tym, czy mam umiejętności wystarczające do tego, żeby napisać książkę, czy powinienem ją pisać, czy zasługuję na to, by być jej autorem, to pewnie ona nigdy by nie powstała. Ale jako młody człowiek nie miałem absolutnie żadnych hamulców. Jeżeli coś mnie interesowało, to zabierałem się za to i szedłem za ciosem.

I teraz zobaczcie całą sekwencję zdarzeń. Myślę, że to, co chciałbym Wam przekazać w tym odcinku podcastu, to jest to, że **wszystko, co robimy, w jakiś sposób posuwa nas do przodu i otwiera nam nowe możliwości**. Nigdy bym nie napisał książki o Windows 95, gdybym jako gówniarz nie jeździł na giełdę na Grzybowskiej, nie trafił do „Bajtka”, nie wykonywał tych dodatkowych działań rozwijając swoje umiejętności, próbując się w coś wgrzać. Nie mam obawy przed tym, żeby drążyć różne tematy od strony technologicznej, że chcę poświęcać swój prywatny czas, który mógłbym przeznaczyć wyłącznie na imprezowanie, a chcę go poświęcać na to, żeby tworzyć magazyn dyskowy. Bo gdyby tych wcześniejszych rzeczy nie było, to pewnie nie byłoby też warsztatu, który już miałem, przychodząc do GW. A gdyby nie było GW, to nie jeździłbym na konferencje w świat i do napisania tej książki nigdy by nie doszło. Nie miałbym po prostu tych Windowsów 95 w odpowiednim momencie w ręku. To jest jeden ze scenariuszy, podobnie było z breakdance’em, z innymi rzeczami, których się w życiu podejmowałem, również z porażkami związanymi z handlem, a mam ich sporo na swoim koncie.

W 1996 r., mając zaledwie 23 lata, wziąłem ślub z Gabi. Czas absolutnie świetny, wszyscy zastanawiali się, czy przypadkiem nie jest tak, że spodziewamy się dziecka i dlatego tak się

spieszmy. Nie. Pobraliśmy się z miłości. Przez kilka lat nie było nas stać na to, żeby mieć swoje własne mieszkanie i musieliśmy mieszkać z Mamą Gabi. Zbieraliśmy pieniądze na nasze własne mieszkanie. Nie posiłkowałem się wtedy kredytem. Owszem, Rodzice nam pomogli w zakupie pierwszego mieszkania, które mieliśmy, jak nasz Syn się urodził, a było to w 2000 r., czyli cztery lata mieszkaliśmy z Mamą. Z jednej strony superczas, bo to też taka lekcja pokory, że często trzeba trzymać język za zębami. Nawet kiedy chcemy powiedzieć coś konkretnego i wprost, a z drugiej to taki czas, w którym bardzo mocno byłem zorientowany na cel. Pracując w wydawnictwie IDG Poland, ciągnąłem dwa etaty: byłem zarówno dziennikarzem, później redaktorem w tygodniku „Computerworld”, ale również szefem działu informatyki, co zaczęło się rok później. Po prostu miałem pomysły na to, jak usprawnić pracę wydawnictwa od tej strony informatycznej. I przejąłem schedę po gościu, który wcześniej tym się zajmował. Zbudowałem zaplecze informatyczne w wydawnictwie, ale w 2000 r., kiedy rodził się nasz syn Szymon, uznałem, że nie jestem w stanie ciągnąć dwóch etatów równocześnie.

Podjąłem wtedy trudną decyzję, wydawało mi się, że słuszną, ale która okazała się jednak błędna. Zdecydowałem, że rezygnuję z IT, przekazuję ten dział w cudze ręce, a sam zostanę wyłącznie redaktorem, czyli osobą, która odpowiada za kształt konkretnych działów w piśmie. Trochę pisze, trochę redaguje teksty innych osób. Wydawało mi się, że to ma być moim powołaniem i że bardziej odnajdę się po tej stronie dziennikarskiej niż po technologicznej. Efekt był taki, że w 2002 r. odszedłem z wydawnictwa i poszedłem do firmy, w której przeszedłem na „drugą stronę barykady”, czyli zajmowałem się wyłącznie technologiami informatycznymi.

Czasami w życiu podejmujemy błędne decyzje, nawet takie kluczowe, dotyczące tego, jak rozwijamy swoją karierę zawodową. Nie należy się tego bać. Jeżeli popełni się błąd i widzi się to, to trzeba zastanowić się, jak go najlepiej skorygować. Miałem też tak, że w 2000 r. widziałem już wyraźnie, że rynek prasy i tradycyjne media to jest równia pochyła, że one idą w złym kierunku, że nie potrafią zauważyć potencjału, który daje im internet. Nie potrafią przestawić się na model zarabiania na swojej działalności w internecie, a nie w modelu prenumerata czy reklama w tradycyjnych mediach. Więc wiedząc, że ten kierunek jest równia pochyła i nie chcąc się znaleźć na jej dole, musiałem podjąć decyzję, że coś zmieniam w swoim życiu. I podjąłem decyzję, że rzucam dziennikarstwo. I pomimo że w tamtych czasach świetnie zarabiałem, tzn. można powiedzieć, że tkwiłem w takiej złotej klatce, byłem osobą, która miała superzarobki, zarobki płynące z wielu źródeł, bo organizowałem konferencje informatyczne itd.

W kolejnej firmie przepracowałem 10 lat. To była firma DCS i tam w zasadzie uczyłem się wszystkiego, tj. marketingu, sprzedaży, dopieszczania klientów, wystąpień publicznych, PR, kreowania nowych produktów, wprowadzania produktów i usług na rynek, ale też kompleksowego zarządzania projektami, zarządzania ludźmi itd. Więc 10 lat bardzo mocnej nauki, zupełnie dla mnie nowych w wielu obszarach kompetencji. I myślę, że dalszy okres już w zasadzie znacie, bo to się przewijało, czyli np. siódmy odcinek mojego podcastu, w którym mówiłem, dlaczego rzucam moją pracę. Dlaczego po 10 latach pracy w firmie informatycznej zdecydowałem się na coś zupełnie innego.

I charakterystyczne u mnie jest też to, że te wszystkie przełomowe momenty w moim życiu występują w okolicy równych dekad. Bo przechodząc ze świata dziennikarstwa do mediów, do świata IT, miałem 29 lat. Rzucając etat w firmie informatycznej, otwierając swoją własną firmę i decydując się, że będę rozwijał bloga, podcasty, miałem 39 lat. Dzisiaj mam 44. Więc szmat czasu. I tuż po moich 40. urodzinach zacząłem nagrywać podcast „Więcej niż oszczędzanie pieniędzy”. Więc to już są cztery lata nagrywania podcastu!

Podsumowując, w tych kluczowych zmianach w moim życiu, które wprowadzałem, kierowałem się taką zasadą, że **staram się zawsze myśleć o tym, czy praca, którą dzisiaj wykonuję, jest pracą, którą chcę wykonywać za dwa, za pięć lat**. I jeżeli widzę, że odpowiedź jest „nie”, to dziś jest najważniejszy moment, w którym trzeba podjąć decyzję, co dalej. Jakoś radykalnie to zmienić. Czasem było tak, że bardzo mocno ryzykowałem. Nie miałem większego planu na to, co będzie za kilka lat, ale wiedziałem, że skoro nie chcę wykonywać tej pracy, którą dzisiaj wykonuję, to znaczy, że muszę ją zmienić już teraz. Zmiany nigdy nie są łatwe. Ale z drugiej strony miałem bardzo dużo wiary w siebie i dużo doświadczeń za sobą, co mi pozwalało wierzyć, że poradzę sobie w każdej sytuacji w życiu. W lepszy lub gorszy sposób, ale poradzę. Ja zawsze byłem zwolennikiem działania i korygowania tego, co się dzieje w trakcie. Owszem, staram się planować różne rzeczy do przodu, ale nie jest to takie bardzo skrupulatne, bo uważam, że nie da się wielu rzeczy, życiowych zmian dokładnie zaplanować i przemyśleć. Często znajdziemy wiele przeszkód, które hamują nas przed działaniem. Ja mam coś takiego, że bardzo ostrożnie podchodzę do zmian w życiu, ale z drugiej strony ufam sobie i gotowy jestem dawać z siebie maksimum, korygując ten kierunek w trakcie. Nawet weźcie ten podcast i spójrzcie na pierwszy odcinek, to nie jest tak, że ja to rozkminiłem latami. Uważałem, że wystartuję z tym, co mam, umiem. I w miarę nagrywania wierzyłem, że stanę się coraz lepszy. Stanę się osobą, która potrafi do Was mówić szczerze o tym, co dotyczy konkretnego tematu.

Pierwszy odcinek podcastu ukazał się pod koniec marca 2013 r., czyli cztery lata temu. Chciałabym, abyście spróbowali zauważyć postęp, który od tamtego czasu się wydarzył. Więc za chwilę usłyszycie niepublikowany dotychczas nigdzie fragment będący jedną z pierwszych prób nagrywania tego podcastu. Muzyczka wstępna w tle jest inna, ponieważ ostatecznie ją odrzuciłem. Posłuchajcie, jak bardzo zmienił się mój warsztat, sposób mówienia, różnica jest kolosalna!

[Nagranie audio z 2013 r.]

Od samego początku nagrywam podcast na tym samym sprzęcie. Jest to ten sam mikser, mikrofon, dyktafon, kable. To, co się zmieniło, to jest tylko doskonalony proces przygotowań, nagrywania, to, w jaki sposób mówię, proces obróbki podcastu już po jego nagraniu.

Na koniec taki wniosek, że **zdecydowanie warto próbować, bo tak naprawdę nigdy nie wiemy, dokąd nas życie doprowadzi. Im wcześniej zaczniemy próbować, tym łatwiej będzie nam wybrać z życia te elementy, które są dla nas ważne, istotne i są dla nas kierunkiem, w którym chcemy iść**. Ja zdecydowanie jestem sumą doświadczeń, które zebrałem przez te 30 lat pracy. A zacząłem dosyć wcześnie.

Prawda jest też taka, że uczyłem się, podglądając wiele osób. I myślę, że ten setny odcinek jest dobrą okazją, aby tym wszystkim osobom bardzo mocno podziękować za wsparcie, które od nich otrzymywałem. W szczególności chcę podziękować moim szefom, czyli po kolei: **Jarek Młodzki** z redakcji „Bajtki”, później **Robert Jakubowski** i **Piotr Cieśliński** z Gazety Wyborczej, którzy byli takimi redaktorami, którzy na bieżąco mi pomagali. Był też **Wojtek Raducha** z „Computerworld”, z wydawnictwa IDG. Był także **Jacek Diehl** z DCS. To są takie osoby, które przez cały ten okres potrafiły mi zaufać i jednocześnie wykrzesać ze mnie maksimum możliwości, bo to jest taka kombinacja, która istnieje u dobrych szefów, że potrafią być dla swoich pracowników z jednej strony osobami wspierającymi, a z drugiej takimi, którzy powstrzymują swoje emocje na wodzy i mówią: „*Rób to, co potrafisz najlepiej, ja Ci ufam*”. To jest coś, co mi przez cały ten okres bardzo mocno towarzyszyło.

Chcę też w szczególności podziękować moim rodzicom, czyli mojej mamie Magdzie, drugiej mojej mamie Eli, tacie Zygmuntowi, za to, że mnie nie rozpieszczali, dzięki temu stymulowali mnie do samodzielności. Z jednej strony byłem zmuszony być samodzielnym, zarabiać dla siebie pieniądze, ale z drugiej zawsze mogłem liczyć na Rodziców, na ich pomoc, wtedy, kiedy ona była mi rzeczywiście potrzebna.

I najmocniej, ale to absolutnie najmocniej chcę podziękować mojej żonie Gabi, która jest dla mnie takim największym słońcem, jaki istnieje, najmocniejszym krytykiem tego wszystkiego, co robię. I to takim obiektywnym, bo wiem, że zawsze jej zależy na tym, żebym sam się nie ładował na miny, więc to też jest fajne. Jest też największym, najlepszym wsparciem, jakie otrzymuję praktycznie cały czas – więc dzięki wielkie, Gabciu, bardzo Cię kocham.

W notatkach do dzisiejszego odcinka podcastu pod adresem jakoszczedzacpieniadze.pl/100 znajdziecie wszystkie materiały, o których wspominałem, a które obrazują tę moją historię. Podsumowując, chcę, abyście zapamiętali, że **cokolwiek nam się przytrafia w życiu, to warto to traktować jak dobrą monetę**. Nawet jeśli zdarzają nam się problemy czy coś, co wygląda tragicznie, to można przyjąć taką postawę, że to jest coś takiego, co życie daje nam teraz po to, żebyśmy kiedyś nie wladowali się na większą minę. Więc to jest takie żółte czy czerwone światło, z którego musimy wyciągnąć wnioski, chociażby po to, żeby uniknąć takich sytuacji w przyszłości.

Druga rzecz, **nie ma niczego ważniejszego niż dobre relacje z innymi i to, żeby nigdy nie palić za sobą mostów, aby zawsze być dla innych taką osobą, która jest po prostu obiektywnie dobra**, bo te relacje wracają. Dobra i uczciwa, bo uczciwość to jest ważne słowo, bo w takim długim okresie wierzę, że wygrywają tylko takie osoby. W krótkim okresie różne sytuacje mogą się oczywiście przytrafiać i różni oszuści, hochsztaplerzy mogą wychodzić korzystniej, ale w długim okresie liczy się tylko to, czy my potrafimy zebrać wokół siebie takie osoby, które chcą nas wspierać. Ważne jest też, aby być zadowolonym, oglądając się za siebie. I ten setny odcinek dla mnie to jest taki moment, kiedy patrzę się za siebie i mówię: „*Niesamowita jest ta droga, którą przeszedłem do tego miejsca. Wierzę, że droga przede mną jest dużo, dużo lepsza*”.

Zdradzę też, że pioruńsko trudno było mi się zabrać za nagranie tego odcinka, choćby dlatego, że jest taki wspominkowy. Chciałem wyważyć bardzo dobrze ten balans pomiędzy tym, na ile

uprawiam totalną melancholię, a na ile przekazuję Wam pewne wartości i pokazuję swoim przykładem, że te wartości i doświadczenia przekładają się na całkiem dobry finał. Więc mam nadzieję, że to mi się udało. Jeśli tak, to proszę Was o trzy słowa komentarza na blogu, żebym wiedział, że nagrywanie takich odcinków nie jest głupim pomysłem.

Dziękuję Ci za wspólnie spędzony czas i życzę Ci skutecznego przenoszenia Twoich celów finansowych na wyższy poziom. Powodzenia i do usłyszenia za dwa tygodnie w kolejnym, 101. odcinku podcastu. Trzymaj się i do usłyszenia!